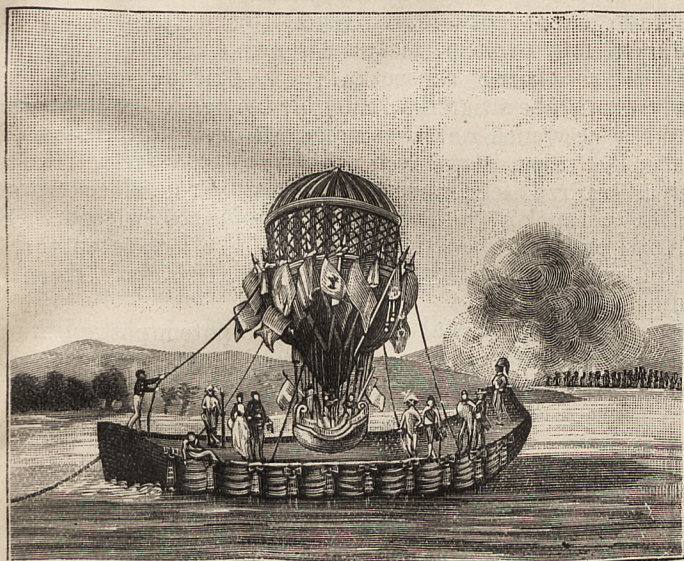




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Balon Garnerin'a puszczoney w 1801 r.

WYPRAWY BALONEM.

W roku bieżącym, dwóch uczniów francuskiej szkoły żeglugi powietrznej, panowie: Besançon i Hermite, postanowili badać ziemie bieguna północnego za pomocą balonu. Wiadomo, że olbrzymie kry i lodowce podbiegunowe, tylu już naukowym wyprawom kres położyły, rozbijając okręty lub więżąc je lodowymi okowami, że nareszcie należało spróbować innego środka lokomocyi, mianowicie balonów. Gdyby sposób kierowania balonami był już znany, podróż taką otaczałyby jeszcze liczne trudności. Jakkolwiek wszakże wiele czasu upłynęło od chwili, gdy balon Garnerin'a wzniósł się w powietrze

ze statku na Sekwanie (1801 r.) wśród tłumu widzów, sposobu takiego dotąd nie wynaleźli najbiedniejsi aronauci. Tylko dopiero później już po wyprawie marynarza Prince, przedsięwziętej w czasie oblężenia Paryża, w której odważny żeglarz śmierć znalazł w nurtach oceanu, udało się we Francyi, przy zupełnym spokoju atmosfery, przy braku wiatru jednym słowem, pokierować balonem dwóm Francuzom: Krebs'owi i Renard'owi.

Pomimo więc szalonych trudności w przedsięwziętej podróży, za lat dwa odbyć ją mają powyżej przytoczeni pp. Besançon i Hermite.

Obecnie przystąpiono do budowy balonów, jest ich bowiem dwadzieścia dwa; z tych jeden, balon główny, kolisty, objętości 15,000 metrów kubicznych, oraz szesnaście baloników, które wieńcem go otoczą, napełnione zostaną najlżejszym z gazów, wodorem. Wewnątrz balonu głównego, ochrzczonego nazwą *Sirel*, znajdować ma się drugi mały balon napełniony powietrzem. Oprócz tego cztery małe, wodorem napełnione balony, spuszczone będą pod biegunem w celu badania prądów powietrznych.

— Lecz do czegoż służą te baloniki dodatkowe i ów wewnętrzny, powietrzem napełniony?—spytacie może znając już sposób budowania balonów z opisów ich, umieszczanych dawniej w Wieczorach.

Otóż pierwsze dostarczać będą wodoru *Sirel*'owi, gdyby przypadkiem uleciało z niego trochę gazu. Że zaś temperatura wpływa na rozszerzenie lub ściskanie się gazu, przez co balon to wznosiłby się, to opadał, tracąc lub zyskując na objętości,—przeto by utrzymać balon w jednakim ciągle napełnieniu, podróżni wprowadzać będą mogli powietrze do wewnętrznego balonu, lub też je ztamtąd wypuszczać.

Sirel uniesie z sobą ciężar 16,500 kilogramów.

Przepatrzmy szczegółowe rubryki tego ciężaru. Najwięcej wagi daje nam balast balonu, następnie sam Sirel z wieńcem baloników, potem idzie waga łodzi, wynosząca 2,500, kilo. tyleż waży prowiant, którym przez osmdziesiąt dni żywić się będą nasi dwaj uczeni, trzech służących i ośm psów, które z sobą zabierają. Wreszcie, 1850 kilo ważyć będzie, kotwica, ciężka kotwica żelazna, która do długiej liny przyczepiona, wlec się będzie po lodach i morzu nie pozwalając balonowi ulecieć zbyt wysoko, przeciwnie, utrzymując go w jednym poziomie.

Lecz najciekawszą osobliwością będzie łódka. Stalowy jej szkielet opleciony szczelnie wtkami, zawierać będzie oprócz ludzi, psów, wodę, Kuchenkę i piecyk naftowy, łóżka wiszące, stoły, krzesła, wreszcie sanki; domyślacie się zapewne, że sanki ciągnąć będą psy, w tym celu jedynie wzięte. Wreszcie łódka zaopatrzona zostanie w kilka niezbędnych do obserwacji oszklonych otworów, a pod nią znajdować się będą olbrzymie łyżwy, które w razie upadku, ułatwią przesuwanie łódki po lodzie. Gdy już statek powietrzny będzie gotowym, dwa parostatki popłyną z nim ku wyspie Szpitzberg, balony będą napełnione wodorem i ztąd dzielni badacze wyruszą. Postaramy się wtedy dać czytelnikom naszym wizerunek owego najnowszego balonu, i uwiadamiać ich będziemy o losach wyprawy.

Koszt całej wyprawy obrachowano na 560,000 fr.

W WIGILIĄ.

(Dokończenie).

Anulce na te słowa łzy zakręciły się w oczach, a gdy z kolei rodzice przycisnęli ją do piersi, musiała aż odwrócić zarumienioną twarzyczkę, by nie poznano jej wzruszenia. Czyż nie dość była wynagrodzoną za swój trud i pracę, ponoszona dla zebrania potrzebnej na ten cel kwoty pieniędzy, tą szczerą radością działwy!...

Jędrus nie był zapomnianym w tem młodocianem gronku.

I jemu się dostało ciepłe barchanowe ubranko i kilka garstek łakoci. Z rozradowanemi oczami patrzył teraz właśnie, jak ten dobry paniczyk, który tak pamiętał ciągle o nim, z pewną dumą podawał ojcu jakiś papier, który nazwał „cenzurą“ i śledził potem bacznie twarz jego w ciągu jej przeglądania. Nakoniec pan złożył papier i podał go żonie, sam zaś z zadowoleniem zwrócił oczy na syna.

— Jestem z ciebie kontent, Kaziu—rzekł mu—uczysz się pięknie i przynosisz mi zaszczyt swoim sprawowaniem. Pamiętasz pewnie, że kiedyś obiecałem ci wierzchowego konika. Chciałbym ci dzisiaj go ofiarować „na Gwiazdkę“, ale może, powiedz, może pragniesz czego innego?...

Kazio zarumienił się, zmieszał i zadumał.

— Tak, tatusiu, odgadłeś—odparł cicho po chwili—dziś pragnę czego innego.

— No to mów śmiało, chłopcze!—zachęcał go ojciec.

— Skoro mi pozwalasz, tatku, to powiem.—Dawniej marzyłem o koniu, dziś zaś pragnę, abyś pozwolił zostać przy nas nazawsze Jędrusiowi. On taki biedny, tatuńciu, byłby u nas przy ogrodzie czy przy kredensie. A gdybym jeszcze kiedy w przyszłości zasłużył w twoich oczach na konia, miałbym już gotowego masztelarza... On tak kocha swą wioskę!... podniósł nieśmiało oczy i spotkał się z pogodnym wejrzeniem ojca.

Ten ostatni przyciągnął go i pocałował w czoło.

— Dobrze synku, że przed swemi własnymi przyjemnościami kładziesz zadowolenie drugich. Jędrus pozostanie

u nas. Wszak pozwolisz na to — rzekł, zwracając się do żony.

— Z całego serca—odparła z prostotą pani.

A Jędrus na te słowa pobladł, jakby mu wszystka krew zbiegła do serca. Jaktó! Jestże to prawdą! On, biedny sierota nie będzie się dłużej błakał po obcych stronach, tylko pozostanie tutaj, w swej rodzinnej wiosce, i u takich dobrych państwa!

Nisko, ku samej ziemi, pochylił się znów do kolan pana pod wpływem wdzięczności, przepełniającą mu serce.

— Wstań, chłopcze, wstań i nie dziękuj!—rzekł, podnosząc go dziedzić. — Dzień dzisiejszy jest dniem łaski. Bóg Ojciec bowiem zesłał światu Dzieciątka, Syna swego, by nam się stało wzorem prawdziwej miłości. Dziś wszyscy powinni być szczęśliwi...

Podniósł się.—W tej samej chwili, z drugiego pokoju, dokąd przez ten czas zdołali przejść wszyscy, zabrzniały poważnie dźwięki kołedy, która z kilkudziesięciu dzieciennych piersi, rozbrzmiewała czysto, zgodnie i dziwnie uroczystie. Panienska grała na fortepianie, dokoła zaś, we wzorowym porządku stały uszykowane dzieci, ta sama hałaśliwa gromadka, która przed chwilą nie umiała ukryć okrzyków radości, a teraz stojąc cicho i całkiem poważnie, intonowała pieśń na cześć Tego, którego chwala przed wiekami, dziś powstała, i rozejść się miała po krańce świata:

Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony;
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony.

Dziecinne głosiki, zda się, chciały z dźwiękami tej pieśni wyrzucić całą swą wdzięczność i radość z serca, bo płynęła ona ku górze coraz czystiej, donośniej, a serdeczniej.

Jędrus przepełniony nieopisanem wzruszeniem, zbliżył się do okna, poza które rzucił tęskne spojrzenie. Tam ukryta, niby puchem, białym całunem śniegu osłonięta, leżała jego rodzinna wioseczka... Z okienek niskich chatek błyszczą słabe światełka, niby błędne ogniki, a płatki śniegu iskrzą się w nich zmrożone nakształt brylantów, lub świeżych kropelek rosy, skąpanych w blaskach tęczowych. Na ciemnym szafirze nieba, mrugają przyjaźnie roje złocistych gwiazdek, a spokój w naturze ma w sobie coś świętego. Snać Anioł przeleciał ponad dachami sioła, a lecąc szeptał: Pokój, pokój wam ludziom i radość! Dzisiejszy dzień jest dniem łaski!

Chłopczyzna stał tak chwilę, a potem postąpił ku gromadce śpiewającej i chcąc ulżyć wezbranyim uczuciom, dołączył swój dźwięczny głosik do ogólnego chóru:

Wzgardzony, okryty chwałą
Śmiertelny, król nad wiekami
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Na słowa ostatnich dwóch wierszy dziecinne jeszcze główki, odkryte, chyła się ze czcią ku ziemi niby kłosa zbożowe poruszane falą, różowe usteczka drżą lekko z przejęcia, a pieśń rwąc się z głębi serca płynie coraz wyżej, a wyżej.

V. Cairo.

Dziesięcioletnia królowa.

(Dokończenie).

Po Wilhelmie I-ym wstąpił syn jego Wilhelm II, po tym zaś w r. 1849 Wilhelm III, którego śmierć przypadła w przeszłym miesiącu (d. 23 Listopada), oplakuje dziś cała Holandia. Szczerze pragnący dobra kraju, monarcha ten miał dzielnego w zamiarach swoich pomocnika w profesorze Thorbecke, przez długie lata zajmującym stanowisko ministra. Wzięto się z energią i zapałem do budowy dróg żelaznych, do urządzania telegrafów, pozawierano nowe, a korzy-

ne dla kraju traktaty handlowe, polepszo stan kolonii, pomyślano o kopaniu kanałów i osuszeniu *morza Harlemkiego* (Jezioro w półn. Holl. nieopodal od Leydy, Harlem i Amsterdamu. Od r. 1850 stopniowo osuszane, przedstawia dziś wielką wyspę, mającą $3\frac{1}{2}$ mil powierzchni, otoczoną kanałem i podzieloną na 4 symetryczne części). Jednym słowem, rządy ministerjalne Thorbeckego były dla kraju jak najkorzystniejsze. Minister, który po nim nastąpił, przyrzekł Francji odstąpić jej Luksemburg, co wywołało pomiędzy Francją a Prusami nieporozumienie, zakończone w r. 1867 układem, mocą którego *księstwo* luksemburskie pozostawało neutralnym i dziedzicznym w domu ks. nassauskich, spokrewnionych z domem orańskim, a *miasto* Luksemburg przestało być twierdzą.

Podezas wojny francusko-pruskiej w r. 1870—71 Wilhelm III zachowywał neutralność: sercem wszakże sprzyjał Francji a nienawidził Niemiec, mianowicie zaś panującego domu Hohenzollernów. W roku 1866 skorzystał ze sposobności i oderwał od związku niemieckiego Luksemburg oraz Limburg i namiestnikiem mianował brata swego, księcia Henryka, ożenionego z księżniczką pruską, a tak się bał, aby dziedzictwa po nim nie zagarnęli Hohenzollernowie, że chociaż ks. Henryk umarł bezdzietnie, a Luksemburgiem po śmierci jego rozporządzono tak, jak się wyżej powiedziało, to jednak król, straciwszy obu synów (urodzonych z małżeństwa z księżniczką Zofią wirtemberską) ożenił się powtórnie w nadziei, że spadek po sobie przekaże dzieciom. Jakoż z tego drugiego małżeństwa z młodszą od siebie o lat 40 księżniczką, Emmą Waldeck-Pyrmont, urodziła mu się córka Wilhelmina obecna królowa, dziesięć lat mająca dopiero.

Następcą na ks. luksemburskie jest ks. Adolf Nassau, hrabia-Palatyn Renu, który ma 38-o letniego syna, ks. Wilhelma-Aleksandra, pułkownika dragonów w wojsku austriackim. Wilhelm III przewidział dalej nawet, bo na wypadek śmierci małej królowej, ustanowił porządek następstw na tron, który w żadnym razie nie dostanie się Hohenzollernom.

Nietylko wszakże tą troskliwością o przyszłe losy kraju zjednał sobie Wilhelm III serca poddanych i wywołał ten żal, jaki dziś trumnę jego otacza; nietylko dobrym był królem, był jeszcze dobrym—litościwym a odważnym—człowiekiem, bo gdy w r. 1855 straszliwa powódź spustoszyła najbogatsze prowincje: Utrecht i Brabant, słynny z wyrobu koronek, król własnymi rękoma, z narażeniem życia dobywał z toni ludzi i zwierzęta, a dolą nieszczęśliwej ludności zajął się z współczuciem serdecznym, które pomiędzy nim a ludem jego zadzierzgnęło węzeł trwałego przywiązania. Wyraża się ono dzisiaj tym smutkiem głębokim, z jakim naród żegna zwłoki króla, zgasłego w zamku Loo pod Hagą, a niemniej i miłością ogólną, jaka otacza małą królowę swoją. Jak ojciec dobra i miłośni, a na ludzkie niedole tkliwa, jak on porywcza i łatwo się gniewem unosząca, obdarzona zdolnościami umysłu i wielką siłą charakteru, młoda królowa, ubóstwiająca matkę swoją, wyrośnie zapewne pod jej kierunkiem na kobietę, rozumiejącą ważność swego zadania i dość silną, by mu podołać. Matka ta, królowa-regentka, na parę tygodni przed śmiercią króla, regentką ogłoszona, gdy składała przysięgę, że „całości konstytucji krajowej strzedz i bronić będzie wiecznie“, „drżała ze wzruszenia—musi więc należeć do rzędu tych, którzy obowiązków swoich nie lekceważyli i córkę przykładem swoim tak samo nauczy cnót królewskich, jak ją uczy chrześcijańskich i niewieści. Mówią, że dotychczas nauczyciele i nauczycielki obchodzili się z księżniczką, jak ze zwykłą uczennicą. Królowa Emma poleciła im nazywać ją nie inaczej, jak „mademoiselle.“ Kształceniu małej Wilhelminy przewodniczył guwernantka Angielka, lecz matka ma ogólny kierunek nad wychowaniem, bardzo skromnym i mającym głównie na celu rozwój fizyczny dziecka. Przyszła królowa jeździ konno, wiosłuje, gra w krokieta z rówieśniczkami.

Przed dwoma laty w marcu, wyjechawszy na przejażdżkę z matką spostrzegła, iż na placu publicznym dzieci bawią się w śnieżki. Na usilne jej prośby, matka kazała woźnicy stanąć i pozwoliła Wilhelminie przyglądać się tej zabawie. Lecz księżniczka, im bardziej się jej przypatrywała, tem większą

miała ochotę przyjąć w niej udział. Królowa nie mogła się oprzeć jej naleganiom i po krótkiej chwili wraz z innymi dziećmi przyszła królowa rzucała kule śnieżne, a współzapaśnicy obsypywali ją śniegiem. Opowiadają także że gdy przed dwoma laty, pies-faworyt, porwał z figlów ulubioną jej lalkę, i nosząc ją w zębach, rozbił jej głowę, dziewczynka rozgniewana, chciała go uderzyć. Powstrzymała się jednak i rzekła z westchnieniem: „Oj! żebym ja nie miała być królową, tobym cię wybiła, aż miło!“

Można więc mieć nadzieję, że dobrze kiedyś będzie panowała ludowi ta, która zaczyna od panowania nad sobą.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.



(d. c.)

aleko to zapytałem?

— Nie bardzo.

Choć Viola raz po raz zagadywał do mnie, gdy szliśmy przez las ku moczarni, rozmowa nie wią-

zała się jakoś. Myślałem ciągle o cudzoziemcu. Ale widocznie nie było przeznaczonem, żebym dnia tego choć zdaleka ujrzał jego mieszkanie, bo gdy skrećaliśmy w wąską, wiodącą do niego drożynę, coś ciężkiego nagle spadło z drzewa na ziemię i jednocześnie

z odgłosem upadku, usłyszeliśmy gwałtowne trzepotanie skrzydeł i rozpaczliwy krzyk ptaka, krzyk przenikający do głębi, streszczający całą trwogę istoty, której gwałtem wydzierają życie. Obejrzelśmy się. Tuż prawie przed naszymi oczami, na ziemi, pomiędzy dwoma pniami świętych drzew, toczyła się walka: ptak duży jak kura, ciemno-żółtawy, z długim ogonem nasadzonym piórami naksztalt wachlarza, walczył z małą ptaszyną, usiłującą wydobyć się z jego szponów. Co jednak było najwięcej wzruszającym, to że druga, także drobna ptaszyna, snąc matka napadniętej, siadłszy na głowie napastnika, biła go dziobkiem i skrzydłami, chcąc zmusić do puszczenia zdobyczy, i choć tak mała, krzyczała wielkim głosem, ochryplym z wysilenia. Zrobiło mi się gorąco i zimno na ten widok. Moje opowiadanie trwa długo, ale scena ta trwała tylko chwilę: Viola zawołał:—Jastrząb! jastrząb!—a ja rzuciłem się na ratunek. Ale ptak zerwał się i lecał nisko przy ziemi, unosił szybko swoją ofiarę; wszystkie troje zniknęli mi z oczu.

Puściłem się za nimi w pogoń i dopędziłem jastrzębia w chwili, gdy przysiadłszy na ziemi, zaczął żywcem oskubywać ptaszka, a że spadłem na niego nagle, więc nie mógł mi się wyrwać! Bił mnie skrzydłami po twarzy, szarpał na mnie ubranie, poranił mi ręce ostrym, zakrzywionym dziobem, ale ja nie puszczałem go mimo bólu—dopiero gdy szpony jego otworzyły się i puścił ptaszka, ja też puściłem mordercę, który wzbił się wysoko ponad drzewa i zniknął.

Biedna ptaszyna leżała na ziemi, omdlała ze strachu i bólu, pokrwawiona, a zamknięte jej oczy zdawały się wskazywać, że już nie żyje; druga zaś, ta co broniła jej tak dzielnie, skakała dokoła niej, ćwierkając żałośnie. Widząc nadbiegającego Violę, zawołałem na niego, żeby mi przyniósł

wody ze strumienia, a że potok szumiał niedaleko, więc poczciwy chłopiec zaczerpnął jęj w dłonie i prysnął kilkakrotnie na ptaszka, który też wkrótce zaczął dawać znaki życia i otworzył oczy. Wtedy ja wzięwszy wody w usta, otworzyłem mu delikatnie dzióbek i napoiłem go — następnie obejrzałem ptaszka starannie i przekonałem się, że oprócz kilku piórek wyrwanych i kilku nieznacznych powierzchownych skaleczeń, nie miał żadnej rany śmiertelnej, nie złamanego. Nie potrafię wyrazić jak mnie to ucieszyło. Viola przypatrywał się także ptakowi poważnie, a gdy ten już przyszedł do siebie i zaczął skrzydełkami trzepotać, rzekł z miną uroczystą.

— Czy wiesz Janku komu uratowałeś życie?

— Jakto, czy wiem! ptaszkowi.

— Tak, ale czy wiesz co to za ptaszek? Nie myśl, że on jest rodem z wyspy Atlanty... to przybysz ze stron dale-



Śmierć marynarza Prince przy spadku balonu w morze.

kich, *Snowacz bengalski*, po łacinie *Ploccus*, znakomity budowniczy, umiejący stawiać wygodne ptasie pałace o kilku pokojach.

Dotąd widziałem w ocalonym ptaszku tylko istotę cierpiącą, ale teraz spojrzałem na niego uważniej: pióra jego trochę brunatne, trochę żółte, nie należały do najświetniejszych. Był on wymownym dowodem, że pod skromną powierzchownością kryje się często prawdziwa zasługa.

— A ty zkąd to wiesz? — zapytałem — nie jesteś przecież pazurem Pióropuszką.

— Ba! ale wiem, bo to nie tak dawny nabytek, od wiosny dopiero przywieziony z Bengalu. Cały nasz dwór jeździł go wtedy do Koralewego grodu oglądać, i Pióropuszek bardzo się nim cieszył, a że to jest ptaszek wielce inteligentny, łatwo dający się obłaskawić i chętnie w towarzystwie ludzi przebywa, więc królewicz zrobił sobie z niego kurjera.

— A to jakim sposobem?

— Jedzie naprzykład na polowanie i bierze Snowacza z sobą w małej klateczce, którą wiezie za nim koniuszy. Przyj-

dzie mu ochota zawiadomić Perekłę o której godzinie powróci, więc pisze na cienkim papierze depeszę, daje ją Snowaczowi, a ptaszek wiernie odnosi, bo ma dobrą pamięć i dom jakiś, raz lub dwa pokazany, z łatwością poznaje.

— Czy nie lepsze są do noszenia listów gołębie?

— Może lepsze, ale to jest, widzisz, coś nowego. Jestto ulubieniec małych książąt, Daniela i Pstrąga. Rzucają mu oni często pierścień w wodę, a ptaszek na dany znak chwyta go, zanim jeszcze dotknął powierzchni wody.

— Opowiadasz mi same nadzwyczajności...

— Hej! chłopcy! czy nie widzieliście tu gdzie czasem dwóch Snowaczy bengalskich? — rozległ się głos donośny i męczyzna wysoki, okazałej postaci, w kapeluszu z piórem, wyszedł z poza drzew. — Snowacz z pisklciem uciekł mi z ptaszarni i pomimo nawoływań znaleźć go nie możemy. A, Viola! ty znasz tego ptaka. Czy nie spotkałeś go przypadkiem?

Męczyzną tym, jak się później dowiedziałem, był Ibis wielki ptasznik królewicza Pióropuszką.

— Oto są panie, matka i dziecko — odrzekł Viola wskazując na ptaszki. — Jastrząb przed chwilą porwał to młode pisklę i mój przyjaciel mu je odebrał.

Ptasznik zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Twój przyjaciel? któż to jest?

— Paż przyboczny królewicza Zielonki: nazywa się Janek sierota.

— A! czy ten co znalazł żabę?

— Ten sam.

— Widzę młodzieńcze, że cię to drogo kosztowało — przemówił do mnie Ibis, ale Viola uprzedził go że nie rozumiem po atlantyjsku, skończył więc zaczęty frazes po łacinie. — Ręce masz porządnie pokaleczone.

— Mniejsza o to — odrzekłem, obeierając krew.

— Jakto mniejsza? Alboż to nie boli?

— Boli trochę, ale więcej bolałoby tego biednego ptaszka, gdyby go był jastrząb żywcem oskubał.

Popatrzył na mnie uważnie i zapytał.

— Czy w twoim kraju, młodzieńcze, wszyscy są tak wytrwali na ból?

— Wszyscy — odrzekłem — uczą nas tego wcześniej.

— Szczęśliwa gleba, w której ziarna nauki tak dobrze wschodzą — powiedział poważnie. — Może chciałbyś młodzieńcze, obejrzeć domek tego którego uratowałeś, to choć ze mną. Wszystkie ptaki wprawdzie umieją budować, ale żaden nie potrafi z taką jak Snowacz urządzać się wygodą.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałem, a Viola zawołał:

— Powiadam ci, że on ma pałac prawdziwy, pałac w stylu wschodnim, z pokojami kopulastymi!

Ibis uśmiechnął się na ten okrzyk pełen zapału i wzięwszy ostrożnie rannego ptaszka, zawrócił się w głąb lasu, w kierunku zupełnie przeciwnym temu jakim szliśmy dotąd, a my oba postępowaliśmy za nim, bo nie było drogi, tylko wązka ścieżka między drzewami. Matka pisklęcia leciała nad naszymi głowami. Nie wiem jak długo szliśmy, ale zdaje mi się, że to nie mogło być dłużej nad pół godziny — i gdy się las cokolwiek przerzedził, zdziwiłem się ujrawszy zdala mury Koralewego grodu. Droga to była znacznie krótsza od tamtej, którą pierwszy raz prowadził mnie tu Viola nad brzegiem morza, choć i tamta była także lesista.

Ptaszarnie królewicza Pióropuszką są to olbrzymie budynki ze szkła i żelaza, zapełnione wszelką roślinnością, bo gdzie ptaki żyć mają, tam muszą być konieczne drzewa i krzewy. W zimie budynki te są ogrzewane, żeby mieszkańcy gorących stref mieli temperaturę taką samą, do jakiej się przyzwyczaili w ojczyźnie. Na lato szyby szklane usuwają się, a ptaszarnie wystawione na działanie świeżego powietrza, są od niego tylko delikatną siatką drucianą oddzielone, a i tę zaporę często usuwa się zupełnie.

Ibis wskazał mi drzewo palmowe, na którego jednej z wyższych gałęzi, zawieszony był przedmiot dziwnego kształ-

tu. Wyglądało to niby wążki worek długi na półtora łokcia, w kilku miejscach kulisto wydęty, niby koszyk misternie spleciony z suchej trawy, pokrzyżowanej w rozmaity sposób, co tworzyło razem gęstą tkaninę o oczkach ściśniętych. Worek ten zwrócony był otworem ku dołowi. Ibis wpuścił tam skalczanego ptaszka, a drugi ptaszek usiadł na wyższej części gniazdka.

— Więc to ma być gniazdo Snowacza bengalskiego? —

— Czy on na Atlantcie już wybudował sobie to gniazdo? — spytałem.

— O nie — odrzekł — tutaj dobudował tylko jeden pokój. Przywiozłem go z Indostanu razem z gniazdem. Jest on bardzo pospolity w Indyach. Nad brzegami rzek i potoków, wszędzie tam spotyka się te gniazda zawieszane na najwyższych gałęziach drzew palmowych lub figowych, bujające w powietrzu za każdym powiewem wiatru, niby dzi-



... na jednej z wyższych gałęzi zawieszony był przedmiot dziwnego kształtu.

przemówilem, przypatrując się z podziwieniem. — Prawdziwe arcydzieło, chociaż wielce dziwaczne. Czy ptak od razu całe gniazdo buduje?

— Bynajmniej: jego budowa prowadzi się powoli i z rozmysłem; co rok dobudowuje ptaszek jeden pokój, stosownie do zwiększania się jego potrzeb.

— Zupełnie jak człowiek — wtrącił Viola.

— A jednak w budowie jego nie znać łątaniny — mówił Ibis dalej — punkta połączenia są niewidoczne, niema nawet różnicy w barwie materyału. Nie jestże to dowód, że Snowacz jest nie tylko budowniczym ale i artystą?

waczna, pnąca się roślina. Sąsiedztwo wody i zwrócenie otworu gniazda ku dołowi, czyni je niedostępnem dla ptaków drapieżnych i węzów. Ale nie koniec na tem: ten artysta nie lubi ciemności, więc oświetla swoje mieszkanie.

Spojrzałem na ptasznika niemal z przestraczem, przypuszczając że mówi od rzeczy, ale on uśmiechnął się tylko i kazał mi zajrzeć w otwór gniazda. Usłuchałem go, i zobaczyłem z najwyższem zdumieniem, że mówił prawdę. Pokoiki Snowacza, połączone z sobą wążkami korytarzami, były oświetlone wprawdzie światelkiem słabem, ale wystarczającym dla rozejrzenia się w ich urządzeniu wewnętrznem. Na prze-

pierzeniu, na grudce ziemi gliniastej, przyczepiony był świecący, żywy jeszcze robaczek, tak aby światło padało z góry, zupełnie jak kiedy kto świecznik zawiesza. Słaby blask płynący z drugiego pokoiku, dowodził że i tamten był oświetlony.

— Może te robaczki służyć mają na pożywienie — powiedziałem, nie dowierzając własnym oczom.

— Może — odrzekł Ibis — ale gdyby tak było, ptaszek umieściłby go gdziekolwiek, nie zadając sobie trudu przyklejania na ścianie.

Byłem jak oszołomiony: ten instykt cudowny drobnej ptaszyny, uczący ją jak ma sobie radzić, zdumiewał mnie.

— Skoro cię to zajmuje młodzieńcze, pokażę ci coś więcej jeszcze — mówił Ibis dalej. — Mamy tu różnych rzemieślników i artystów ptasiego rodu. Widziałeś już budowniczego, pokażę ci jeszcze garniarza, krawca i ogrodnika.

I poprowadził nas dalej, gdzie na grubych łodygach kaktusów były mocno osadzone dziwne kule, ulepione starannie z gliny i podobne do tykw. Z głębi jednej kuli, niby z pękatego garnuszka, wyglądał ptaszek z białą piersią i brunatnym łepkiem.

— To są gniazda *garniarzy*, ulepione z niemalym trudem i starannie we środku mchem miękim wysłane — powiedział. — Są to ptaki brazylijskie, zwane w języku naukowym *Furnarius rufus*.

A gdy stałem zapatrzony w ten garnuszek, Ibis oderwał mnie, mówiąc:

— Krawiec w tej chwili właśnie szyciem jest zajęty. Chodźmy przypatrzeć się jego robocie.

Poszedłem za nim dalej i na innym drzewie zobaczyłem dziwne zjawisko. Ptak w żółtozielonkawym upierzeniu, z białą piersią, czerwoną szyją i długim, do góry zadartym ogonkiem, zeszywał własne gniazdo z dwóch mniejszych liści, nitką bawełny, a dziobkiem posługiwał się zamiast igły. Ibis utrzymywał, że nitkę ptaszek zawsze sam sobie przędzie. Spytałem o nazwę ptaka i dowiedziałem się, że *krawiec indyjski* zowie się *Otrichotomus longicauda*.

— A teraz — rzekł — idźmy odwiedzić *ptaka ogrodnika*.

Na małej polance między drzewami ujrzałem budynek bardzo misternie urządzony, niby altana dla lalki, a przed nim prześliczny ogródek, po którym spacerował ptaszek w brunatnym upierzeniu, nie większy od naszego szpaka. Byłem pewny, że ta altanka i ogródek są owocem zabawy młodych książąt, bo ogród wyłożony zielonym mchem, poprzetykanym kwiatami i ozdobionym czerwonymi jagodami, wyglądał zupełnie na dzieciinną zabawkę, ale Ibis wyprowadził mnie z błędu. Ptaszek to sam urządza sobie altanę, jako salon do zabawy dla siebie i dla gości, bo sypia w innym gnieździe, gdzie też składa jaja.

— Urządzenie altany dowodzi nawet pewnej znajomości sztuki ogrodniczej — mówił Ibis — ptaszek wybiera sobie młode niskie drzewko lub krzew, najczęściej pasożytną pokrytą rośliną, przyciąga do ziemi giętkie gałązki, i wtyka je, aby się zakorzeniły i utworzyły dokoła zielone sklepienie. Z jednej strony, jak pan widzisz, pozostawiony jest wielki otwór, niby drzwi wychodzące prosto na ogródek. Całą tę piękną murawę z mchu on sam ułożył, on powsadzał w nią kwiaty i jagody.

— Ależ te kwiaty na drugi dzień zwiędną, jagody zeschną i zczernieją — zawołałem — a tę murawę pierwszy lepszy wiatr zarzuci zeschłymi liśćmi!

— Ptaszek wie o tym — odrzekł. — Zbiera on starannie każde zdżbło słomy, każdy liść zeschły, każdy okruch kory nawet i oczyszcza swój trawnik najstaranniej, a na miejsce zeschłych kwiatów, przynosi inne, i ogród jego zawsze świeżo i czysto wygląda. Nie jestże to dowodem, że ptak ten ma wrodzone poczucie piękna? Przywieziono go tu z Nowej Gwinei, gdzie żyje po lasach. Krajowcy zowią go ogrodnikiem, a nauka *Amblyornis inornata*.

Gdy jeszcze w Dębowej Woli czytałem listy Abrakadabrusa, do Redakcyi Wieczorów pisane, dziwaczne i pra-

wie śmiesznem wydawało mi się marzenie Pióropuszką o zbadaniu mowy zwierząt — ale teraz mając tak widoczne dowody ich inteligencji, przestałem się dziwić królewiczowi. Byłoby istotnie pożytecznem dowiedzieć się, co też one mówią między sobą o ludziach, którzy choć mają więcej rozumu niż zwierzęta, jednakże nieraz w tyle poza nimi zostają.

— Idę teraz do królewicza z raportem o wypadku Snowacza — rzekł Ibis — czy nie życzyś sobie czasem, młodzieńcze, towarzyszyć mi? Usłyszałbyś podziękowanie z własnych ust Jego Królewiczowskiej Mości.

— Nie zrobiłem tego dla Jego Królewiczowskiej Mości — odpowiedziałem — ale dla siebie samego, a także dlatego, że ten ptaszek miał matkę, która... której chciałem oszczędzić cierpienia... Nie oczekuję wcale podziękowania. Zegnam pana i dziękuję serdecznie za pokazanie mi tyłu zajmujących rzeczy, których nie znałem.

Zaledwie jednak z Violą opuściliśmy ptaszarnię, zobaczyłem zdaleka coś, co w większe jeszcze wprawiło mnie zdumienie, niż wszystko dotąd przeze mnie widziane. Była tam grupa skał sztucznie ułożona z kamieni, między którymi szczeliny wypełniły gęste rośliny skalne — ale nie to było powodem mego zdumienia. Kręcił się tam ptak podobny trochę z powierzchowności do czajki, wysmukły, w pstrem ubarwieniu. Nogi jego muskularne, krótkie, zaopatrzone były w długie zaostrome palce; pierś miał szeroką i nieco wystającą. Otóż ptak ten zbliżył się do jednego kamienia i usiłował go poruszyć. Próbował nogami, piersią, ale kamień ani drgnął, bo też był stosunkowo dość duży. Ptak stał chwilę nieruchomy, jakby się namysławiając, obszedł kamień dokoła, uważnie go oglądał, spróbował znowu skrzydłem — nic nie pomogło. Myślałem że go to zniechęci, ale ptak wziął się na sposób: skopał dokoła ziemię, ponowił próby i po długich ciężkich wysileniach, nareszcie zdołał kamień odwrócić. Wówczas cel tych wysiłków stał się dla mnie zrozumiałym. Pod kamieniem były ukryte drobne owady i muszelki, z których teraz wyprawił sobie ucztę. Viola, mający wiele wiadomości o ptakach, objaśnił mnie, że ten wytrwały pracownik zowie się *Kamusznikiem*, *Strepsilas*; że zawsze tak ciężko pracuje na swoje pożywienie, bo te owady, skorupiaki i drobne robaczki, wyłączny jego pokarm stanowią, że żyje w Europie na wysepkach i wybrzeżach morskich. Ten nawet schwytany został podobno na brzegach Bałtyku, gdzie ma być bardzo pospolity. Należy do rodziny *Siewkowatych*, do rzędu *brodzących*.

Ptak ten zdumiewał mnie: to czego byłem teraz świadkiem, napeliło mnie uczuciem wstydu i upokorzenia.

— Jakto! — myślałem — ptak dźwiga kamienie i nie ustaje w pracy przechodzącej chwilami jego siły, póki jej nie dokona, a ja nie mogę przezwyciężyć trudności w nauce języka atlantyjskiego, ja co już jestem mężczyzną, ja co się nam za coś i noszę zaszczytną godność posła? Cóż ja wart jestem? Precz ze słabością! Niech Atlanta nie powie, że Polak chętnie się bierze tylko do tego, co łatwo przychodzi! Viola, nie mieliśmy dziś jeszcze z sobą lekcji, wracajmy spiesźnie do domu, żeby ją odbyć przed obiadem.

I choć byłem tak zmęczony daleką wędrówką, że nawet kaszleć mocno zacząłem, zasiadłem chętnie do nauki, podniecony przykładem kamusznika i tak byłem uważny, żem aż zadziwił mego nauczyciela. Nie myślałem już tego dnia o cudzoziemcu, bo musiałem pełnić moje obowiązki paza, przy boku królewicza.

Damy dworskie wystąpiły przy obiedzie w klejnotach, będących prześliczną kombinacją fioletów białych z szafrowymi i bratków ciemnobarwnych, załamujących puszystością płatków, aksamity Pióropuszką — o przy sukniach koloru jasno lilla, pięknie odbijała. Lekka ta żałoba, była im bardzo do twarzy. Dworzanie mieli ozdobne przepaski z tychże kwiatów na lewém ramieniu, a paziowie fioletowe wiązanki przy czapkach, zamiast róż. Po obiedzie królewicz złożył wizytę kondolencyjną posłowi mocarstwa, którego książę zakończył życie.

Cały pałac królewski tego dnia przepełniony był wonią

fiołków. Przed wieczorem pokojowiec wręczył mi list opatrzoney królewską pieczęcią, na którym był adres następujący:

„Do Jego Ekselencyi posła nadzwyczajnego
Wieczorów rodzinnych.

Otworzyłem kopertę z niemałym zdziwieniem i wyczytałem słowa następujące:

Młodzieńcze!

Dwukrotnie wyświadczyłeś mi ważną przysługę: raz znalazłszy żabę latającą, drugi raz, ocaliwszy Snowacza bengalskiego. Nie ofiaruję Ci orderu, boś go już raz odrzucił, ale posyłam Ci w podarunku konia z rzędem. W jego żyłach płynie najczystsza krew arabska; mam nadzieję że ci sprawi przyjemność. Chciej go uważać, nie jako wynagrodzenie za jedną z oddanych mi przysług, ale jako objaw mojej królewskiej życzliwości dla ciebie i Pisma które reprezentujesz.

Pióropuszek.

Koralowy gród dnia 12-go sierpnia 1890 r.

Ten dar niespodziany, ta łaska nadzwyczajna, o mało mnie nie przypawiły o zawrót głowy. Zbiegłem szybko po schodach i ujrzałem przed drzwiami pawilonu białego konia, okrytego zielonym aksamitnym czaprakiem, haftowanym w białe stokrotki po rogach. Rzęd na koniu był bogaty, zdobny tu i owdzie w klejnoty zwierzęcego królestwa, perły i korale. Koniuszy trzymał go za uzdę.

— I ten przesliczny konik jest mój, mój naprawdę? — myślałem, patrząc na niego z niedowierzaniem. — Ach, jeżeli naprawdę, to Viola musi na nim jeździć tyleż co i ja, bo gdybym się z nim nie mógł podzielić, byłaby to tylko połowa mej radości. Co za szkoda, że moi bracia stryjeczni tak daleko; Jakby się oni cieszyli tym koniem, jakby go używali!

Wskoczyłem na siodło i objechałem dokoła zegar Florry, a potem cały dziedziniec; zdawało mi się, że cała gwardya i Astragalus będący tego dnia na służbie, podziwiali mego rumaka. Szedł on posłusznie, kłusem, truchtem, jak chciałem, wreszcie puściłem go galopem po błoni.

Może zawiele mówię o tym koniu, ale on jest tak piękny, tak piękny, że gdyby go Szanowna Redakcyja widziała, to doprawdy, sama zaraz miałaby ochotę na nim się przejechać.

Janek sierota.

ZE WSPOMNIENÍ MŁODEGO CHIŃCZYKA.

(Dokończenie).

Lata dziecinne minęły więc dla mnie w stanie ciągłego przymusu. Miałem ochotę krzyczeć, hałasować, biegać, skakać, głośno objawiać wszelkie uczucia, ale jak młody żrebiec w zaprzęgu, musiałem wszystkie me upodobania i chęci poskramiać. Ojciec mój był dobry i kochający, ale surowy i twardy, tak jak ojciec jego był względem niego, i pamiętam że żyłem w stanie ciągłej trwogi przed jego bambusową laską. Matka moja, chociaż nie знаła niemądrej czułościowości wzbraniającej słusznój kary, nieraz zataiła lżejsze przewinienie, żebyśmy uszedł razów.

Gry hałaśliwe mało są uprawiane w Chinach; chłopiec szesnastoletni jest tam poważny i spokojny jak starzec, woli siedzieć i rozmawiać niż biegać lub skakać, bawi się wszakże czasami. Puszczanie latawca jest prawdziwie grą narodową, wszyscy, nawet starsi biorą w tem udział; latawce bywają rozmaitych rozmiarów, miewają od trzech do czterech łokci szerokości. Są daleko lepsze od tych, które widziałem w cywilizowanych krajach, cienkie laseczki bambusowe podtrzymują w nich ryżowy papier, barwnie zmalowany. Wiatr uderzając

w nie, wydobywa dźwięki naśladowujące jakiś odgłos ze sfer wyższych, czasem dwóch lub trzech ludzi musi trzymać długi i mocny sznur, na którym wznosi się w chmury latawiec, do sznura tego przywiązują papierowego motyla, który szybko unosi się w górę, a wkońcu spada, obsuwając się własnym ciężarem. W miesiącu październiku obchodzą święto latawców; w dniu tym wszyscy, starzy, młodzi, dzieci wychodzą za miasto i wypuszczają latawce w lazurową przestrzeń; zabawa na tem polega, aby płaść sznury, obiecać je, tworzyć prawdziwe bójki pomiędzy latawcami.

Drugą grą jest wolant, znany także w Europie. Tańca Chińczycy nie uprawiają wcale, nie pojmują oni przyjemności jaką mieć można skacząc przez noc całą.

Chłopcy bawią się z dziewczynkami tylko do lat dziesięciu lub dwunastu. Miałem wiele kuzynek, niektóre mieszkaly w tym samym domu, inne w sąsiedztwie. Córkę bynajmniej nie bywają porzucane w niemowlęctwie, czynią to tylko bardzo ubodzy ludzie. Ubogie kobiety zachowują także zwykłe kształty nóg, tylko panny domów zamożnych i szlachetnych podlegają operacyi, która zmniejsza ich rozmiary. Gdyby tego zaniechały, stałyby się zakałą rodziny. Z początku nogi dziewcząt są starannie obandażowane aby więcej nie rosły, ale trzewiki ich dopasowane są jeszcze do nogi; w rok jednak obuwie staje się dużo mniejsze, i w miarę jak noga coraz jest krótsza, trzewik także się zmniejsza, i nareszcie nie jest dłuższy nad trzy cale, czasem nawet dwa i pół. Cierpienia towarzyszące tej operacyi są nieznośne, nieraz słyszałem kuzynki moje jęczące z bólu, ale jednak za nic w świecie nie byłyby chciały uniknąć tego męczeństwa i mieć nogi duże jak służące lub kobiety z ludu. Młoda Chinka woli przebyć męczarnię za młodu, a później zostać kaleką, jak wyrzec się modnej drobnej stopki. Wprawdzie kobiety nasze mogą chodzić i odbywać krótkie spacerki, ale cierpienie przy zmniejszeniu stopniowym nogi, zdaje się działać na ducha i czyni je nieradnym, pozbawia swobody na całe życie. To też Chinka nie wychodzi prawie, a w domu nie ukazuje się obcym. Wychowanie odbiera bardzo skromne, uczy się czytać, pisać, robót i pomagać w kuchni.

Nie mamy szkół publicznych, ale w kraju w którym jedynie nauka prowadzi do wszystkiego, nie braknie szkół prywatnych, i najmniejsza wioska je posiada. We wszystkich jeden tylko nauczyciel wykłada, a podział na klasy nie znany jest. Miałem lat sześć kiedy mnie oddano do szkoły mieszczącej się jak często bywa, w świątyni przodków, która pustkami stojąc doskonale się nadawała do tego użytku, tak jak tysiące jej podobnych.

Od szóstej z rana do czwartej po południu, z wyjątkiem dwóch przestanków na śniadanie i na obiad, zgromadzało się tam kilkunastu chłopców od lat sześciu do siedemnastu. Uczono nas czytać i pisać, ale że chiński język nie posiada alfabetu, każdego słowa trzeba się uczyć osobno, na czem całe lata schodzą. Książkę każdą czyta się od końca, zaczynając od góry z prawej strony kartki na dół do końca każdego wiersza, poczem wraca się w górę. Wszyscy razem głośno czytają i uczą się, i im kto głośniej wrzeszczy, za tem lepszego ucznia bywa uważany. Jest to jedyny sposób, jaki posiada nauczyciel dla przekonania się, czy uczniowie czem innem jak lekcya nie są zajęci.

Nauka pisania nie jest łatwiejsza. Z pedzelkiem umaczanym w tuszu trzeba naprzód przerysowywać charakterki podłożone pod cienki papier, na którym uczeń wiernie każdy rys naśladuje, później dopiero zaczyna on kopiować bez podobnej pomocy. Pisanie jest u nas talentem tak jak malarstwo i rysunek, i piękne pismo ma wielkie znaczenie. Nieposłuszni i leniwi surowo bywają karani przez nauczyciela, który razów nie szczędzi, mając przy sobie nieustannie, drewnianą linję i bambusową trzcinę. Wakacje są krótkie, a uczniowie w Chinach nie znają niedzieli ani świąt innych. Gdyby jednak i święta zachowywali, nie wieleby się uczyli, gdyż niema prawie dnia w roku, któryby nie był poświęcony jednemu z niezliczonych bóstw, mających wiernych czcicieli. Do świąt należy w Chinach nowy rok, w którym zamieniają także życzenia

i podarunki, oraz święto latarni obchodzone w nocy. Gdy tylko mrok zapadnie, mężczyźni i chłopcy zbierają się, każdy trzymając na wysokości tyce latarnie o fantastycznych kształtach, przedstawiające zwierzęta, ptaki, ryby, kwiaty, i suną długim pochodem. Łatwo sobie wyobrazić jakie wrażenie czyni widok tylu latarni malowanych jaskrawymi kolorami i oświetlonych ze środka. Zapach palonego sandałowego drzewa napęnia powietrze, muzyka gra, i lud cały oddaje się radości.

Czterdzieści lat temu, młody Chińczyk imieniem Yung-Wing dostawszy się do Ameryki, przeszedł przez wszystkie szkoły, aż do uniwersytetu. Powróciwszy do ojczyzny zapragnął, aby młodzi jego współobywatele mogli podobnie odnosić korzyści, niełatwo mu to jednak przyszło, i zaledwie po dwunastu latach udało mu się przekonać dwóch ministrów w Pekinie, którzy otrzymali od cesarza stosowne prawo.

Ogłoszono więc że rząd przeznaczył znaczne pieniądze na wysłanie do Ameryki 120 chłopców, którzy tam mieli otrzymać najstaranniejsze wychowanie, wyprawiając co rok po trzydziestu. W tym celu otworzono w Szang hai szkołę przygotowawczą dla nich. Mieli oni pozostać w Ameryce piętnaście lat na koszczie rządu, a za powrotem do kraju otrzymać urzędowania. Świeższe te obietnice powinny były zwabić wielu, ale z powodu braku gazet rozgłaszających je po całym kraju, mało kto o tem wiedział, i przedstawiło się zaledwie kilku kandydatów.

Wreszcie rodzice nie mieli może wielkiej ochoty posyłać synów do kraju nieznanego, którego mieszkańcy byli dla nich barbarzyńcami.

Jeden z naszych krewnych, który jeździł za interesem do Szanghai nie był jednak tego zdania, i za powrotem jał namawiać moją matkę aby mię posłała do Ameryki. Ojciec mój od lat trzech już nie żył i cały ciężar naszego wychowania spadł na matkę, nie chciała jednak sama stanowić o moim losie, i zostawiła mi swobodę działania, a że byłem usposobienia dosyć awanturniczego, chętnie zgodziłem się kraj opuścić, aby poznać świat inny.

Matka zajęła się więc przygotowaniem do mej podróży, i zacząłem się żegnać z krewnymi i znajomymi. Nadszedł dzień rozłączenia, pożegnałem matkę nie serdecznym uściskiem, co było niegodnem Chińczyka, ale skłaniając się cztery razy aż do ziemi; ona starała się okazywać mi wesołe oblicze, ale oczy jej były wilgotne, gdy polecała mi abym zawsze do brze się prowadził, i zaopatrzyła w trochę pieniędzy. Ze wspomnieniem jej smutku, i wrażeniem wywołanem jej mową, wsiałem na łódź mającą mię zawieźć do Hong-kong, i żał za rodziną oraz uczucie osamotnienia, pierwszy raz napęliło me serce.

W Kong-kong jednak prędko otrząsnąłem się ze smutnych wrażeń, cudzoziemcy w strojach tak dla mnie dziwnych, zajęli całą moją uwagę.

Po kilku dniach wsiedliśmy na okręt, i po czterodniowej żegludze znalazłem się w Szang-hai u wuja, który był *compradore*, to jest agentem przy amerykańskim domu handlującym herbata. U niego pierwszy raz zetknąłem się z obyczajami zagranicznymi. Nie mogłem się przyzwyczaić do kusznych i obcisłych sukien europejskich, dziwiłem się jak lu-

dzie mogli w nich chodzić i biegać, a ubranie kobiet niemniej mnie raziło.

Zaprowadzono mnie do szkoły przygotowawczej, gdzie rozpocząłem naukę języka angielskiego. Początki wydały mi się bardzo śmieszne, i z niemałym trudem nauczyłem się alfabetu. Jednak gdy po roku przystąpiono do egzaminów, zostałem wliczony do trzydziestu wybranych, którzy wkrótce potem opuścili Chiny aby zostać wychowawcami szkół i uniwersytetów amerykańskich.

Odpowiedź na pytanie z N-ru 49-go.

Aby ciało pozostawało w równowadze, trzeba aby jego punkt ciężkości znajdował się na linii pionowej wewnątrz powierzchni, jaką się ciało dotyka swęj podpory; tak nas uczy fizyka; lecz odróżniamy trzy stany równowagi: stałą, niestałą i obojętną. Z samego już określenia widzimy, że równowaga będzie tem stałą, im trudniej nam przyjdzie wprowadzić z niej ciało, a dalej doświadczenie pokazało nam, że im punkt ciężkości znajdować się będzie bliżej podstawy, tem równowaga będzie pewniejszą i że ciała dążą zawsze do tego stanu. Otóż w figurkach wyrobionych z rdzenia żelaznego, znajdował się ołów w samych główkach, stąd za łada silniejszym wstrząśnięciem, figurki, pochylając się, wychodziły z równowagi, a że punkt ciężkości znajdował się w tej stronie, w której umieszczono ołów, więc sama siła ciężkości sprawiała, że cięższa część figurki opadała na podstawę i w tej dopiero pozycji pozostawała w równowadze stałej.

Jaskółka z Czerwonej Rusi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go

S z a r a d y:

T a b a k a.

Łamigłówki zgłoszkowe:

1. Birsztan Y. 2. Indosta N. 3. Baszt A. 4. Le W. 5. Indyg O. 6. Oga R. 7. Tor T. 8. Epaminonda S. 9. Korf U. 10. Abe L. 11. Węgie L. 12. Aszanc I. 13. Ruszczu K. 14. Sapieżyski. 15. Zemli N. 16. Allahaba D. 17. Wędzidł O. 18. Szpicberg. 19. Kajdan Y. 20. Arara T.

Biblioteka warszawska Tygodnik ilustrowany.

Do niniejszego N-ru dołącza się spis rzeczy i karta tytułowa.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Wyprawy balonem (z drzew.) — W wigilią, opowiadanie p. V. Cairo (dokończenie). — Dziesięcioletnia królowa. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Ze wspomnień młodego Chińczyka (dokończenie). — Odpowiedź na pytanie z Nru 49-go. **Dodatek:** Wyręczycielka mamy p. V. C (z drzew.) — Kasztany, wiersz p. Helenę Bojarską. — Pawełek p. Henryka Wernica. — Nieudana ślizgawka p. A. M. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

Wyęcicielka mamy.

— Kamilciu, moje dziecko, nie kręć mi się tak ciągle pod ręką! Czyż to już w pokoju niema zajęcia, że ciągle snujesz się tutaj, i przeszkadzasz mi w robocie!... To nawet wcale nie przystoi dla panienki siedzieć w kuchni, i wsuwać swój nosek tam, gdzie go najmniej potrze-

— Łęczysia bo zawsze musi gderać — odparła z nadąsaną miną — tak, jakby jój co szkodziło, że sobie pochodzę po kuchni...

I zwróciła się w inną stronę, a dostrzegłszy na stole donicę z uwierconym makiem do strucli, nabrała go napaluszek i poniosła do ust. Gospodyni zajęta wsadzaniem ciasta do pieca, nie widziała tego, ale na nieszczęście w tejże samej chwili weszła do kuchni mama.



Wyęcicielka mamy.

ba... Ot widzisz! Znow odkrywasz mi ciasto, które przez to zziębnie i nie wyrośnie jak należy!...

Tak mówiła stara gospodyni Łęczyska, do siedmioletniej córeczki swych państwa, która wzrosła w jej oczach, i mogła ją przeto bez ceremonii wyprosić z kuchni, gdzie właśnie była zajęta pieczeniem ciast na święta. A przecież kochała ją tak bardzo, że nigdy, co było nawet jej wadą, nie mogła się zdobyć na odrobinę energii, chcąc jedynie perswazyą i prośbami dopiąć celu. Ale nie było to tak łatwe z ciekawą i dość samowolną Kamilcią. I teraz więc po tych jej słowach, dziewczynka zakryła wprawdzie dzieję z ciastem, ale kuchni nie opuszczała.

— Kamusia tutaj? — rzekła zdziwiona — a to poco? czy to tu miejsce dla panienek? proszę iść do pokoju, jesteś tu niepotrzebna.

— Oto to, że też pani zabierze — odezwiała się Łęczyska — bo już tak mi ciągle przeszkadza i wchodzi pod rękę!...

— Mateczko, jeszcze tylko chwileczkę pozwól mi pozostać! Chwileczkę. Już nie będę nic przeszkadzała, tylko zobaczę, czy nasze struclki już upieczone!... — błagała zawstydzona nieco dziewczynka, rzucając w stronę Łęczysi niechętnie spojrzenie.

— Nie, moje dziecko! Najpierw, że przeszkadzasz tylko w zajęciu, a powtóre, patrząc na wszystkie przygo-

owania, mimowoli ulegasz bardzo brzydkiemu popędowi łakomstwa, jak to już zauważyłam. Strucelki, skoro będą gotowe, to je zobaczysz, a będą jeszcze nie tak prędko, tymczasem zaś wyjdź ztąd, proszę, natychmiast!

Kamilcia nadąsała się jeszcze bardziej.

— I ciekawam, co ja będę robiła w pokoju! — zawołała idąc ku drzwiom. — Tam siedząc, ciągle tylko myślę co się tu robi i tak samo próżnuję!

— Otóż to właśnie, że to próżnowanie najbardziej ci szkodzi. Nie zajmując się niczem, bardzo naturalnie, że nie myślisz, jak tylko o tem, co się dzieje w kuchni, ale gdybyś się tak zabrała choćby do wykończenia dla lalki tej nowój sukienki na święta, czas mijałby ci niepostrzeżenie.

Kamcia już miała odpowiedzieć, jak ją nudzi to szybie lalczynój sukienki, gdy we drzwiach ukazała się główka Ewelinki, starszej jej siostrzyczki, przezwanój także w domu „wyręczycielką mateczki”, dla wielkiej zręczności w wypełnianiu jej poleceń.

— Kamusiu, chodź prędej! — zawołała — szukam cię wszędzie, przysłała do ciebie właśnie Helenka od cioci na parę godzin, będziecie się bawiły. Mówi, że ją także wysłała z domu jej mama, by nie przeszkadzała w przedświątecznych zajęciach... — dodała patrząc z uśmiechem na siostrzyczkę. I już miała wraz z nią odbiedzić, gdy na skinienie pośpieszyła do mamy. Ta ostatnia szepnęła jej coś do uszka, a Ewunia poruszyła roztropnie ciemnymi loczkami i powiedziawszy: Dobrze, mateczko, zrobię co będę mogła! znikła za drzwiami pokoju.

Minęło dobre parę godzin, a w kuchni panował ład i spokój, bo nikt nie odrywał od zajęcia, i pieczenie szło szybko i zręcznie. Mamę nawet, skoro potem weszła do pokoju, aż zadziwiła cisza tu panująca.

Na palcach więc zajrzała do dziecinnego pokoju, skąd dochodził ją głos starszej córeczki, i uchyliwszy drzwi, aż uśmiechnęła się na widok, jaki ujrzała. Na niskiej ławeczce siedziała Ewunia z książką otwartą na kolanach, z której wolno i płynnie czytała jedną z pięknych powiastek; z prawej strony mając zasłuchaną Helę, która widocznie nawet wybierała się do odejścia, jak o tem świadczyła oczekująca na nią w przedpokoju służąca i kapelusik na główce, lecz ciekawa historyjka zajęła ją tak mocno, iż zapomniawszy o tem, podparta na łokciach, myślała tylko o niej. Z lewej strony, na stoleczku, siedziała Kamusia równie cała zasłuchana, podtrzymując ostrożnie połowę kartek. Gronko to było tak zajęte, że nawet odgłos kroków nie zdołał oderwać jego uwagi. Mama więc postąpiła chwilkę i ponieważ właśnie skończyła się powiastka, podeszła do dziewczynek.

— O! tak to lubię! — rzekła całując wszystkie — takie to właściwe zajęcia dla was, i ręczę że i wam ten czas szybko i przyjemnie ubiegł. Czy nie tak?

— O tak — zawołały dwie młodsze — powiastka była prześliczna, ale bo przecież to tak krótko trwało, to czytanie!... — dodały z żalem.

— Nie tak znów bardzo jak się wam zdaje, bo już przeszło dwie godziny — odparła mama, zdziwionym niezmiernie tem oznajmieniem dziewczynkom, a kładąc każdą na fartuszek świeżuchną, pachnącą strucelkę, ciągnęła: — A to macie w nagrodę za cierpliwość. Pamię-

tajcie też, moje dziecińki, że nic tak nie skraca oczekiwania jak zajęcie i nic tak nie koi cierpień jak praca z całkowitem się jej oddaniem. Dziś dopomogła wam do skrócenia i zajęcia czasu, którego miałyście za wiele, moja wyręczycielka Ewunia, którą też za to bardzo kocham, ale nie zawsze mieć będziecie kogoś takiego. Uczcie się więc same zajmować ręce i myśli, bo niema człowieka, któryby w życiu nie przechodził ciężkich chwil niepokoju i oczekiwania, a w takim razie praca jest mu niejednokrotnie całem zbawieniem.

V. C.

KASZTANY.

— Patrz, ojcie kochany,
Sprzedają kasztany,
O, kup mi choć ćwiartkę funcika!
— Patrz synku, kochanie,
Czy widzisz przy ścianie
Drżącego od zimna chłopczyka?
Biedaczek, niebożę,
Nic nie jadł dziś może
A tobie na zbytki potrzeba;
Za ciężkie dziś czasy
By jadać frykasy;
Ot, lepiej biedakom dać chleba,
Masz tutaj, syneczku,
Pieniądze w woreczku,
Wiesz, na co ich użyć należy. —
Staś o nic nie pyta,
Woreczek wnet chwyta,
Do chłopca drżącego już bieży.
O! jakże mu było
Przyjemnie i miło.
Że ulżył w potrzebie, w niedoli;
Choć lubi przysmaki,
Lecz gdy ma grosz jaki,
To teraz biednemu dać woli.

Helena Bojarska.

PAWELEK.

Chociaż Pawełek był ładnym chłopczykiem, nikt go nie lubił. Dla czego? zaraz wam opowiem.

Oto Pawełek był bardzo niegrzeczny. Wchodząc do obcego domu, dopiero na środku pokoju zdejmował czapkę. „Dzień dobry” lub „do widzenia” wymawiał tak pocichu, że nikt tego nie słyszał. Kiedy otrzymywał jakiś podarunek, chwytał go czemprędzej i oddalał się, nie myśląc o podziękowaniu; a kiedy ujrzał na ulicy kogo ze starszych znajomych sobie osób, wlepiął w niego duże swe oczy, ale czapki nie zdejmował, jakby obawiając się, żeby wróble z niej nie wyleciały. Rozmawiając ze starszymi kładł ręce do kieszeni, wodził oczami po ścianie lub murze, jakby czego szukał. Jeśli czego żądał, zamiast grzecznie poprosić, mówił: „Chcę tego,” a nawet raz ośmielił się powiedzieć do swój mamy: „Mamo, musisz

mi kupić tę zabawkę." Przy obiedzie z tak wielką jadtł chciwością, iż zdawało się, jakby od kilku dni głodem go morzono. Nigdy nie był zadowolony z tego co otrzymywał, zawsze żądał więcej, a jedząc, kłaskał ustami, jak pewne zwierzę, którego nie chce wymienić.

Nie dziw tedy, że nikt nie lubił Pawełka. Własna jego matka musiała się nieraz na niego gniewać, a pewna pani mówiła:

— Chciałabym zaprosić matkę Pawełka do siebie, ale nie mogę, bo przyprowadza ze sobą swego niegrzecznego malca, który mnie zawsze gniewa. — Pewien znów ojciec powiedział do swego syna: Pamiętaj, Karolku, nie zadawaj się z Pawełkiem, bo on bardzo nie grzeczny. Cóż to za wstyd był dla Pawełka, co za zmartwienie dla jego rodziców, gdy się o tem dowiedzieli.

Henryk Wernik.

NIEUDANA ŚLIZGAWKA.

Rodzice Janka i Maryni mieszkali na wsi, a razem z nimi mieszkała też i ciocia Kazia. Dzieci bardzo kochały tę ciocię, która opowiadała im nieraz różne ciekawe bajki i prawdziwe zdarzenia.

Pewnego dnia ośmioletni Janek przybiegł do pokoju cioci Kazi, wołając:

— Ciociu, czy wiesz, sadzawka w ogrodzie zamrzła, pójdziemy się ślizgać.

Ciocia złożyła robótkę, którą w rękę trzymała i pogładziła jasną główkę siostrzeńca.

— A czy Janek już napisał stronkę kaligrafii?—spytała?

— Napisałem — zawołał wesoło. — Marynia także kończy, a potem pójdziemy do ogrodu z ciocią.

— A teraz idź i poproś Marcysi, aby ci dała kamazę i watowany paltoćik.

— Dobrze, ciociu, powiem jej też, aby przygotowała kamazę i okrycie dla Maryni.

W kwadrans później dzieci stały już nad brzegiem sadzawki, lecz chmurne ich minki wskazywały, że coś nieprzewidzianego zepsuło im zabawę.

Niestety! Ciocia Kazia oświadczyła im, że lód jest jeszcze zbyt cienki, by po nim ślizgać się mogły. Gdyby tylko które nań weszło, wnet pękłaby warstwa lodu, a dzieci nie miały wcale ochoty używać w grudniu zimnej kąpieli.

— No, nie martwcie się — rzekła ciocia — dzisiaj pobiegamy trochę po ogrodzie, a za parę dni może czeka was pyszna po sadzawce ślizgawka.

Marynia tymczasem przypatrywała się pilnie śniegowi.

— Czy to prawda, ciociu, że śnieg jest poprostu zamrzniętą wodą?

— Tak, Maryniu.

— A czemu to woda marznie od wierzchu, ciociu.

— Wiesz już, Maryniu, zapewne, że ciała lżejsze od wody, zawsze po jej powierzchni pływają, otóż lód czyli woda zamrznięta, lżejszą jest od wody płynnej, i dlatego

każda cząsteczka zmarzłej wody wypływa na wierzch łączy się z innymi cząsteczkami zmarzłymi i wszystkie razem tworzą powłokę lodową, po której ślizgać się będziemy; gdyby woda marzła tylko po wierzchu, to lód nie mógłby nabierać grubości, tymczasem, jeśli tylko mróz powiększy się do jutra, to i warstwa lodu będzie grubsza; ztąd widzimy, że woda znów marznąć będzie pod istniejącą już dzisiaj warstwą lodu. Ale zauważcie, jak to dobrze dla łyżwiarzy, że lód nie jest od wody cięższym. Bo coby się wówczas stało, Maryniu?

— Lód opadłby na dno, ciociu.

— Doskonale. A wtedy musielibyście czekać, aż zamarznie cała ilość wody zawarta w sadzawce, by przypiąć łyżwy i używać ślizgawki.

— Ciociu — odezwał się Janek — pobiegajmy trochę.

— Zaraz, zaraz — przerwała Marynia...

— O! panna ciekawska! — zawołał Jaś, takie bowiem nazwisko nadał swojej siostrze za liczne pytania, kómi ciocię zwykle obsypywała.

Pamiętaj Janku, że kto pyta nie błądzi — odezwała się ciocia do Kazia — ciekawość Maryni zasługuje tu na pochwałę, ale porozmawiamy dłużej w moim pokoju, tymczasem gońcie mnie.

Gonitwa po ogrodzie pocieszyła trochę Janka po nieudanej ślizgawce, a gdy dzieci do domu wróciły, Janek podziękował cioci za zabawę a Marynia uściśkała ją za obronę „panny Ciekawskiej.”

A. M.

Łamigłówka w kwadraciku.

ułożył P...z.

5 A—3 I—2 M—4 N—1 B—1 Z — z liter tych utworzyć cztery wyrazy, dające się czytać poziomo i pionowo. Znaczenie wyrazów: 1. Pora roku. 2. Kraj w Azji. 3. Rzeka w Europie. 4. Imię żeńskie.

REBUSIKI.

100	y y y y y		u u u u u
100	y	y	u
	y	biegł y	u ja u
	y	y	u
	y y y y y	prze	u u u u u

wie	rek	A	og og og og og
			og
			og rodzie og
czo		no	og
			og og og og og

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

Szarady:

1-éj H a n k a 2-iéj F a l a.

Skrzynka do listów.

Dawno, dawno nie zaświeciłaś nam już, **Gwiazdko nadziei**, tém też miłszą nam jest wiadomość, że zdecydowałaś się należeć do konkursu, który z powodu wielkiej ilości odpowiedzi oraz braku miejsca rozstrzygniętym zostanie w jednym z pierwszych numerów przyszłorocznych. Osoba o której myślisz nie jest autorką „Księ. żniczki”.

Barwinkowi, oraz wszystkim, którzy nam przysyłają świąteczne życzenia, serdecznie za nie dziękujemy. Barwinek zaś specjalnie na podziękę zasługuje, skoro tak dużo ma zajęć. Szczepnie pragnęlibyśmy dogodzić tak chętniej czytelniczce **Wieczorów** i częściej niż w tydzień dawać numer, ale... to niepodobna!

Jutrzenka i **Pszeniczka** zadowolone z nagród swoich. Chętnie chcieli byśmy dogodzić żądaniu, w tegorocznym numerze nie będzie już miejsca na liściki.

Mila T. „z wielkim trudem” już po konkursie, który był w lecie skończyła robótkę, którą nam dla ubogich dzieci przysłała i nie dziw, bo ma dopiero rok dziewiąty, a wiadomo, że w tym wieku paluszki łatwiej psocą niż pożytecznie pracują. Ale te paluszki usłuchały pocziwego serca. Niechże takie złote serduszek Bóg błogosławi, które kazalo przezwyciężyć trudność dla przyodziania jakiegoś biedactwa. Szanownej Mamie dziękujemy za pamięć o ubogiej dziatwie.

Biedną Jaskółkę z Czerwonej Rusi spotkał zawód, którego przykrość z nią podzielamy. Przesyłka została zwróconą z powodu nieopłacenia należnego za nią cła; jest zaś tak wysokie, iż za cenę możnaby mieć parę takich koszulek. Trzeba korzystać z okazji.

Więc i ty, **Królowo Wrózek**, przechodzisz już do grona „staruszek”? coraz ono liczniejsze, a zawsze nam wierne. Sędziwe te istoty same się domagały konkursu, i cieszy nas, jeżeliśmy im dogodzić mogli.

Od **Białonóżki z pod Karpat** niezaskuszone otrzymuję podziękowanie; nie przyczyniłam się w niczem do przyznania ci nagrody, bo nawet wyjechałam z Warszawy już przed rozstrzygnięciem konkursu botanicznego. Doświadczenie mnie nauczyło, że naftalinę pomyśleć trzeba do benzyny, póki się w niej rozpuszcza; toż samo jednak doświadczenie przekonało mnie, że kwiaty lepiej się zaszają i mniej tracą kolor w czystym, delikatnym piasku. Życzeniu memu co do liścików żadną miarą zadość uczynić nie można, bo w numerach tego roku wyjść mających niema już miejsca. Odpowiedź tyczącą się konkursu udzieliła już redakcja.

Dlaczego wątpisz, **Praco**, że w mojem sercu znajdzie się miejsce i dla ciebie? Od pierwszego listu uczulałam do ciebie sympatyę, ale ponieważ nie odebrałam ostatniego, który zaginać musiał, nie wiem więc dlaczego „zdaleka jesteś od wszystkiego, co kochasz” wiem tylko, że tęsknocie twojej współczuję i na osłodzenie jej chociażby chwilowo wyraży tego współczucia zasylam.

Jakto, **Chmurko zimowa**, ja wzniecam w tobie „obawę”? Chwała Bogu, żeś ją przezwyciężyła nareszcie, bobyśmy cię nazwała *Brzydka* i *Niedobłą* chmurą, a tak, za sympatyę, jaką czujesz do mnie, płacę ci wzajemnością. **Lipcową** zaś **Chmurkę** serdecznie pozdrawiam; ta jakoś łaskawsza na ptaszki: nie lęka się ich!

Jaskółka z nad Bugu nazywa mnie „szanowną”, ja zaś wolałabym, żeby mnie uściskała, choćby w zamian za ten uścisk, który jej przesyłam za robótki dla ubogich dzieci. I śliczne równe piśmo pochwalić też warto, tembardziej, że z dwóch linii wnoszę, jak niewielkie muszą być jeszcze rączki, co takie foremne literki kreśla.

Nie, **Figlarko**, nie trafnym jest twój domysł; z nikim nie koresponduję inaczej, jak pod pseudonymem i miło mi będzie tak korespondować z tobą, ale... *tylko tak*.

Lobelii, oraz wszystkim siostrzyczkom, które mi zasyłają życzenia Świąt wesołych, serdecznie za pamięć dziękuję i nawzajem przesyłam życzenia.

Osóbce, której pseudonym wyjawić nie mogę, nie chcąc zdradzić niespodzianki, jaką dla rodziców przygotowuję, polecam komedyjkę... „Obrazki sceniczne: Trójlistek przez Tomasza A. świeżo wyszłe.

Gołąbka.

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Jakąż przyjemność sprawiłaś mi twą serdeczną odpowiedzią! Tak, to ja pisałam do ciebie w N. 12. Wierzaj mi droga Wińciu, iż, szczerze podzielim twój wielki smutek, po przebytem nieszczęściu. Co ci się najlepiej podoba w *Wieczorach*? Mnie, „W Złotej klatce” i „W Indyach.” Proszę cię nie zwlekać długo z odpowiedzią, bom cię bardzo pokochała, a tymczasem przesyłam ci milion serdecznych pocałunków. Zmieniam pseudonym *Kukuleczki* na *Wiochnę z pod Radomia*.

Bławatce z nad Horynia, Wiochnie z pod Lublina i Białej Ostróżce, serdeczne pozdrowienia zasylam.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Zdziwisz się z pewnością, że Rybka ma z tobą korespondować, ale mimo to odpisz proszę. Mam lat 14, jestem wysoką, szatynką, od roku czytuję *Wieczory*, na imię mi Helena, uczę się w domu. Donieś mi nawzajem toż samo o sobie, oraz co ci się w *Wieczorach* najbardziej podoba? Całuję cię serdecznie, twoja *Rybka z malej wody*.

Kochane: Sarenko z nad morza Bałtyckiego, Jarzębino i Leśna Konwaljo! Wiem Sarenko, jesteś Kaziutą W. z Libawy. Na pytanie twoje dokładnie odpowiedzieć nie mogę, mniej więcej za miesiąc wyjadę z Kalisza. Domyślam się Jarzębino, że jesteś Helenką B. Śliczny masz pseudonym, Konwaljiko, pragnęłabym więc z tobą korespondować, ile masz lat? Donieście mi wszystkie coś o sobie i odpiszcie jaknajprędzej. Kochane: Jutrzenko, Poranku majowy i Srebrna kropelko! Przepraszam was najserdeczniej, że tak długo czekałyście na moją odpowiedź, lecz list mój widać zaginął. Cóż ci donieść droga Jutrzenko po krótko o Szwajcaryi? chyba, że jest prześlicznym krajem. Mam 12 lat, na imię mi Marya. Cieszę się Poranku że chcesz do mnie pisywać. Nie mogę się domyślić Kropelko, kim jesteś? Donieś mi więc jak ci na imię i gdzie mieszkasz? Ścisłam was serdecznie kochane siostrzyczki i proszę o odpowiedź. *Gołąbka heljotropu.*

Kochana Gołązko Paproci! Liścik twój bardzo mnie ucieszył, w N. 30 W. R. jest odpowiedź moja dla ciebie. Mylisz się kochana Gołązko, Horpyna nie jest moją siostrą. W czasie wakacji, bawiłam się dobrze, bo zwykle przyjeżdżają do nas na lato znajomi z miasta. W *Wieczorach* podobają mi się wszystkie powieści, a najwięcej „Pod w pływem błogosławieństwa” i „W Indyach.”

Kochane moje: Burzliwa Naturo i Poranku! Pisałam do was zaraz po odebraniu liścików, lecz odpowiedź moja musiała zaginać, skoro nie była umieszczona. Nie gniewajcież się na mnie i odpisujcie. Masz słuszność że kaźden zakątek P. jest śliczny. Opisz mi, gdzie mieszkasz, kochany Poranku, może jesteśmy sąsiadkami. Napisz do mnie także Burzliwa Naturo. Kochająca was wszystkie *Czarnooka z Puszczy*.

P. S. Stokrotce z nad Stochodu i Królowej Wrózek, serdeczne, choć nieznanym uściśnienia posylam.

Kochana Wołyńska Pszeniczko! Podobał mi się twój pseudonym, więc postanowiłam do ciebie napisać. Odpowiedz mi, a zrobisz mi wielką przyjemność. Jestem twoją imienniczką, a zarazem i rówieśniczką, uczę się w domu. Będę czekała odpowiedzi twojej, życzliwa ci *Polka z nad Szczary*.

Jestem nową korespondentką, więc chciałabym zapoznać się z wami kochane Siostrzyczki, ale z panienek, do których pisałam, żadna nie czuła się w obowiązku mi odpisać. A ja was wszystkie tak pokochałam, że powinnyście mi choć trochę polubić. Polecając się więc waszej pamięci kochane panienki, ścisłam was i całuję *Figlarka*.